ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Kwietnia. № 13. Roku 1857.

ŻONA ZUAWA.

Opowiadanie starego kapitana.

— „Żaden oficer nie ma tyle sposobności do poznania rozmaitych charakterów swoich żołnierzy, co kapitan od Zuawów.“

Temi słowy zaczął pewien stary kapitan francuzki nader zajmujące opowiadanie, które pragnąłbym tu powtórzyć bez wszelkiej zmiany w formie i treści.

— „Do nas, Zuawów“ — prawił kapitan w dalszym ciągu opowiadania — „niezmiernie rzadko dostają się owi spokojni, stateczni żołnierze, których tylko niepomyślny los podczas konskrypcyi zniewala do służby wojskowej. Takim życie w naszym korpusie wydaje się zanadto dzikiem i niespokojnem, a i ciągłe marsze i harce w Algeryi nie mogą przypaść do smaku ich na poły mieszczańskiej naturze. Bo też daleko lepiej i przyjemniej sypia się w najlichszych koszarach francuzkich niż w najwygodniejszych biwuakach algierskich; a nierównie bezpieczniej pod każdym względem stać na straży przed pałacem tuilleryjskim niż na forpocztach przeciw Kabylom, którzy tak mało robią zachodu z każdym zaskoczonym Francuzem. To też kto nie czuje w sobie wrodzonej pochopności do życia burzliwego i awanturniczego, ten pewnie nie przywdzieje dobrowolnie munduru Zuawa. Do nas garną się tylko ludzie, co nabroiwszy do sytu w świecie, w szeregach armii jedyny i ostatni już widzą przytułek; a choć niejeden z nich był w domu największą zgryzotą rodziców, postrachem sąsiedztwa, zgorszeniem wszystkich mieszczan spokojnych a pociechą kobiet lekkomyślnych, to u nas, ujęty w silne karby rygoru, w krótkim czasie w najlepszego wyrabia się żołnierza.

Ja sam miałem i mam nawet dotychczas w mojej kompanii kilkunastu Zuawów, którychbym pewnie nie zrobił ochmistrzami mojego domu, ani też polecił komu innemu do tej lub podobnej funkcyi. Lecz za to niechno tylko rozkaz *„en avant Zuaves! en avant!“* obije się o ich uszy, toć i sam diabeł nie powstrzymałby ich w zapędzie; uderzą wesoło bądźto na jaką stromą górę Atlasu, gdzie jak jadowite gady co krok wychylają się z ukrycia Kabylowie, bądź na zaklętą wieżę malakowską, najeżoną stami armat i moździerzy.

Obok takich zapamiętalców mamy jeszcze w naszym korpusie ludzi, którym dawniej ani przez myśl nie przeszło, iż będą nosić kiedyś mundur Zuawów. U nas, we Francyi, zaszły wielkie i dziwne zmiany od roku 1848. Niejeden z zacnych pod innym względem ludzi pozwolił się unieść namiętności tego lub owego stronnictwa, a zepchnięty z ścieżki pierwotnego zawodu życia, musiał potem najdziwniejsze przechodzić koleje.

Zdarzało się też nader często, iż ludzie, którym z początku nie dość swobodno wydawało się we Francyi, musieli potem przez niepomyślny zbieg wypadków poddać się surowemu rygorowi w pierwszej lepszej kompanii Zuawów.

Nas to mało obchodzi, jakiemu wyznaniu politycznemu hołduje nowozaciężny. Byle tylko miał serce na swojem miejscu, a nie troszczymy się o resztę. Wiemy nazbyt dobrze że na okrzyk *Vive l'empereur!* każdy żołnierz francuzki najochotniej spieszy do boju, choćby się w duchu do wcale przeciwnej przyznawał zasady. Nie lękamy się też żadnych agitacyj w korpusie samym, bo każdemu wiadomo że za podniecanie żołnierzy do przeniewierstwa czekają surowe kary, a w najgorszym razie kula w pierś.

Gdy w jesieni, r. 1853, stałem z moją kompanią w Oranie, przyszedł do mnie pewnego rana jakiś młody mężczyzna, z którego całej powierzchowności widać było na pierwszy rzut oka człowieka, wychowanego w wyższych kołach towarzystwa. Ztemwszystkiem odzież jego była bardzo uboga; niebieska bluza z grubego płótna stanowiła całą wierzchnią garderobę, stary, wyszarzały kapelusz pilśniowy o szerokich krysach okrywał mu głowę, a na nogach ciężyły niezgrabne trzewi-

ki, których przydłuższe używanie nazbyt jawnemi zdradzało się dowodami.

Człowiek ten przybył do Algeryi na małym statku hiszpańskim wprost z Gibraltaru, a że swoich papierów nie musiał mieć w należytym porządku, można było łatwo domyśleć się z jego miny na poły zakłopotanej, na poły bojaźliwej.

Zresztą byłto mężczyzna wcale przystojny, wysoki i silnie zbudowany, mogący mieć najwięcej lat dwadzieścia ośm, z twarzą regularną, acz przedwcześnie już pooraną zmarszczkami trosk i zmartwień.

Stanąwszy przedemną, doręczył mi maleńki liścik od jenerała L., w którym następujące wyczytałem słowa:

— „Ośmielam się polecić ci oddawcę tej kartki jako człowieka walecznego i godnego zaufania, przyczem honorem i sumieniem mogę ci zaręczyć, że dotąd nie dopuścił się żadnego hańbiącego uczynku, i nie ma obawy, aby się go kiedykolwiek dopuścił. Pragnie on usilnie zaciągnąć się pod sztandar walecznego korpusu Znawów, a jestem pewien, że przy żadnej okazyi nie zrobiłby mu wstydu. Przyjmując tego człowieka do swojej kompanii, sprawiłbyś mi wielką przyjemność. Poczytałbym to za dowód twojej niezmiennej życzliwości ku mnie, chociaż niestety nie mam już zaszczytu walczyć o honor i pomyślność Francyi.“

Podobny list polecający od jenerała L. był mi aż nazbyt dostateczną rękojmią. Nie wchodząc bowiem w polityczne zasady walecznego jenerała, wiedziałem że jest człowiekiem honoru, i że każdemu jego słowu można było ślepo zaufać.

Przeczytawszy list jego, wpatrzyłem się bystro w twarz nowoprzybyłego ochotnika, a po chwili rzekłem mu bez ogródki, iż jest zapewne zbiegiem politycznym z Francyi. Przyznał się bez wszelkiego zmieszania w twarzy, dodając nawet z własnego popędu, iż skazany na deportacyę do Kayenne, umknął ztamtąd na jakimś okręciku francuzkim, i nędznie z pracy rąk utrzymywał się dotąd w Anglii i Gibraltarze. Teraz zaś uczuł niepohamowany pociąg walczyć i umrzeć pod sztandarami francuzkiemi.

Ujęło mię wielce to szczere zwierzenie się młodzieńca. Nie zatrzymując go też długo w niepewności, powiedziałem mu, że na polecenie jenerała L. gotów jestem przyjąć go natychmiast do mojej kompanii, bez wszelkich formalności zwyczajnych. Zażądałem tylko, aby mi przyrzekł słowem honoru, iż dopóki służyć będzie między nami, wstrzyma się od wszelkich agitacyj politycznych.

Ochotnik podziękował mi z wylaniem za zaufanie, i chętnie przystał na warunek, który mu położyłem. Prosił tylko, aby mógł zamilczeć swoje prawdziwe imię, a za mojem przyzwoleniem wpisał się do regestrów kompanii pod przybranem nazwiskiem Jean Henri.

Ujrzawszy go wkrótce po raz pierwszy w mundurze Zuawa, musiałem chcąc nie chcąc przyznać, że w całej kompanii nie miałem żołnierza okazalszej postawy. W twarzy jego przebijał się wyraz tak męzki i śmiały, że na pierwsze zaraz ujmował wejrzenie, a śniada z natury cera, więcej jeszcze ogorzała w Kayenne, podnosiła tem wydatniej jego podobieństwo do rodowitego Afrykanina.

Musztry uczył się Jean Henri bardzo spiesznie i pojętnie. Widać było z całego jego ułożenia, że za młodu musiał oddawać się częstym ćwiczeniom gimnastycznym. Toż w niespełna cztery tygodnie prześcignął najstarszych żołnierzów kompanii zarówno w robieniu bronią jak i w woltyżowaniu, skakaniu i innych tympodobnych niezbędnych dla Zuawów ćwiczeniach ciała.

Przy tem różnił się on wielce od wszystkich towarzyszów swoich. Nie odzywał się nigdy, chyba zapytany, a jakiś smutek tajemny zdawał się ciężyć mu bezustannie na sercu.

W każdej kompanii Zuawów bywa nierównie więcej trzpiotów i krotofilników niż ludzi poważnych i statecznych. Nader trudno też oswoić się melancholikowi w podobnem towarzystwie. Na nieszczęście Jean Henri był melancholikiem w całem znaczeniu tego słowa. Unikał on ile możności swoich towarzyszów, a najulubieńszą jego zabawą była samotna przechadzka po miejscach odludnych.

Zuawi nie przebaczą żadnemu koledze odróżniania się trybem życia od innych. Wnet też dostał się naszemu nowozaciężnemu przedrzeźniający przydomek *Henri le Chartreux* (Kartuz). Nie gniewało go to bynajmniej z początku, wszakże gdy któryś z towarzyszów pewnego razu za daleko posunął żarciki swoje, wyzwał go Henri na pałasze, i zostawił mu pamiątkę, po której kilka tygodni leczył się w szpitalu.

Takie pojedynki, acz surowo zakazane, zdarzają się często w kompanii Zuawów, a chcąc nie chcąc musimy na nie przymykać oczy, bo niepodobna zaradzić im w żaden sposób skuteczny.

Surowe skarcenie pierwszego żartu uwłaczającego, uchroniło Jana Henri na dal od wszelkich uszczypliwych przycinków towarzyszy, a nawet zjednało mu pomiędzy nimi pewien szacunek niezwyczajny. Bo też przy każdej sposobności okazywał się nowy ochotnik godnym powszechnego poważania. Zachowanie się jego było bardzo skromne i obyczajne, a dawniejsze staranne i wszechstronne wykształcenie codziennie wyraźniej występowało na jaw.

Jeśli kogoś raz zaszczycimy naszem zaufaniem, tedy powinno ono być zupełnem i nieograniczonem. Taka przynajmniej była moja maxyma od lat młodocianych. Przyjąwszy nowego ochotnika do mojej kompanii, nie myślałem go bynajmniej stawić pod nadzór tajemny, jakby to może uczynił niejeden z moich kolegów.

Przekonałem sie też w krótkim czasie, że Jan Henri nie zawiódł wcale mojego zaufania. Pełnił służbę z wzorową gorliwością, nie dopuścił się nigdy najmniejszej przewiny dyscyplinarnej, i uskarbił sobie zadowolnienie i szacunek wszystkich innych oficerów.

Przyznam się, że uzyskanie tak dzielnego ochotnika do mojej kompanii niemałą sprawiało mi radość, zwłaszcza gdy formowanie nowych pułków strzelców cesarskich pozbawiło mię kilkunastu najlepszych żołnierzy.

Z końcem stycznia r. 1853, kiedy się już otwarcie zaniosło na wojnę z Rosyą, powróciliśmy po krótkiej wycieczce w głąb kraju na dawne leże do Oranu. W pierwszych zaraz tygodniach naszego powrotu zaszła nagle jakaś dziwna i niespodziewana zmiana w całem usposobieniu Jana Henri. Był teraz nierównie żywszym i weselszym niż dawniej, a przez kilka dni z kolei, powrócił aż po capstrzyku do koszar.

Dwa czy trzy razy puściłem bezkarnie to przekroczenie, lecz czwartego dnia kazałem go przywołać do raportu.

— „Słuchaj mię Henri“ — rzekłem mu po przyjacielsku sam na sam — „dotąd byłeś zawsze przykładnym żołnierzem, lecz od niejakiego czasu dopuszczasz się licznych przekroczeń. Nie zachowujesz godzin capstrzyku, chybiasz w służbie, a mówiono mi nawet, że bardzo często odwidzasz nocną porą jakieś mieszkanie odległe. Miałżebyś nadużywać mojego zaufania, i knować jakiś spisek pod moim bokiem?“

— „Przebacz mi, kapitanie, moje dotychczasowe przewinienia, uchronię się od nich na przyszłość. Daję ci jednak słowo honoru, że polityka nie jest mi teraz bynajmniej w myśli“ — odpowiedział mi Henri swoim zwyczajnym spokojnym, męzkim głosem.

— „Niech i tak będzie“ — odrzekłem. — „Przebaczam ci wszystko tym pierwszym razem, pamiętaj jednak że za najbliższem nowem wykroczeniem nie uchroni ci nic w świecie od trzydniowego aresztu.“

Zuaw skłonił się na te słowa z uszanowaniem, i wyszedł z pokoju. A przyznać trzeba, że dotrzymał wiernie danego przyrzeczenia. Po otrzymanem napomnieniu powrócił do dawnego trybu życia, i ani razu nie chybił już capstrzyku.

Nie mało się też zdziwiłem, gdy po kilku dniach z własnego popędu stawił się do raportu, lecz któż sobie wyobrazi moje osłupienie, gdy przystąpiwszy do mnie, zapytał mię najprostszym w świecie sposobem, czy wolno żenić się Zuawowi?

Sacrebleu! byłoto szczególniejsze zapytanie w ustach rekruta, który jeszcze ani pół roku nie nosił munduru. W pierwszej chwili nie wiedziałem do prawdy czy mam parsknąć śmiechem, czy sypnąć gradem przekleństw.

— „Czyś oszalał, dać mi takie pytanie?“— zawołałem wreście, ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia.

— „Nie, kapitanie, mówie to po wytrawnym namyśle“ — odpowiedział mi niezmieszany, jakgdyby prawił coś wcale dorzecznego.

Na taką odpowiedź musiałem mimo woli unieść się gniewem, bo pierwszy raz usłyszałem podobną kolosalną niedorzeczność z ust Zuawa, lubo dwadzieścia lat już przepędziłem w tym korpusie.

— „Chcesz żenić się, żenić jako Zuaw! *Sacrebleu*“ — zawołałem w furyi. — „Toć pięknieby wyglądał nasz korpus, gdyby za każdym żołnierzem wlokła się żona z gromadą beczących dzieci. Ho.. ho mój drogi, nie u nasto uchodzą podobne zachcenia! Kto raz przywdział mundur Zuawa, ten musi pozostać przez cały czas służby bezżennym!“

Cierpkie te słowa zmieszały wielce nieszczęśliwego kandydata do stanu małżeńskiego. Biedak posmutniał nagle, żem aż ochłonął z gniewu, i nieco łagodniej już kończyłem moją przemowę:

— „Co za licho natchnęło cię podobną myślą, mój Henri? Czy zaślepiłeś się w jakiej Murzynce, czy może obałamuciła cię która z owych piękności, co gromadnie włóczą się za armią?“

— „Nie, nie, kapitanie, nie z taką chciałbym się żenić. Jestto moja narzeczona, która

przybyła do mnie z Francyi, i przez niąto chybiłem kilka razy capstrzyku.“

— „A, tak, rozumiem“ — odparłem niewzruszony. — „Starajże się uspokoić ją w jakikolwiek chcesz sposób, lecz myśl o zamężciu wybij jej z głowy raz na zawsze. Zresztą wyruszymy zapewne na wiosnę do Turcyi, więc tem mniej potrzeba nam żołnierzy żonatych. Bądź zdrów.“

Henri wyszedł ode mnie z twarzą zasmuconą, ja zaś zapomniałem wnet o całej tej sprawie, ile że kwestya wschodnia przejmowała nas codziennie pewniejszą nadzieją upragnionej wojny.

Nareście w pięć czy sześć tygodni po tem drobnem zdarzeniu otrzymaliśmy urzędową wiadomość, że i nasz batalion przeznaczony jest odpłynąć do Carogrodu.

I dopierożto było widzieć niezmierną radość, jaka na tę wiadomość wstrzęsła umysłami naszych Zuawów. Na dwa czy trzy dni musiano zwolnieć wszelkie karby rygoru, bo niepodobna było żadną miarą powściągnąć wybryków ich uciechy.

W kilka dni miała zawinąć po nas fregata do Oranu. Przysposabialiśmy się też, co sił stało, do spiesznej podróży. W ciągu tego czasu miałem jako kapitan bardzo wiele do czynienia. Najwięcej zachodu a zarazem i nieprzyjemności przysparzał mi wybór ludzi w mojej kompanii. Otrzymaliśmy bowiem rozkaz, aby wszystkich mniej silnych i mniej zdatnych żołnierzy odłączyć od reszty, i nie brać z sobą na pole walki.

Byłoto dla kapitana bardzo przykre zadanie, bo nikt nie chciał dobrowolnie pozostać w kraju, a wykluczeni z korpusu żołnierze poczytali wyłączenie za sromotną krzywdę, i takich ztąd dopuszczali się gwałtowności, że potrzeba było uciekać się do surowych kar i upomnień.

Wszakże choć srodze mi żal było upokarzać podobnem wykluczeniem niejednego osiwiałego w boju wiarusa, toć nie można było w żaden sposób postąpić sobie inaczej. Spodziewaliśmy się przecież powszechnie nie oprzeć się aż o Moskwę, wypadało tedy wyruszać koniecznie z samym doborowym żołnierzem.

W mojej kompanii miałem pewnego starego trębacza, który brał zaszczytny udział we wszystkich niemal ważniejszych bitwach algierskich. Na nieszczęście jednak zrobił się z niego z czasem pijak nałogowy, usprawiedliwiający wybornie otrzymany od swoich towarzyszy przydomek: „szynkarz.“ Niepowściągnione pijaństwo nadwątliło do tego stopnia jego zdrowie, że niepodobieństwem było brać go z sobą do Turcyi. Napróżno też stary wiarus prosił, błagał, zaklinał, a w końcu i ryczał jak wściekły; nic nie pomogło, — musiał pozostać w domu.

Nie mogę się jednak nie przyznać, że jego wykluczenie mnie samemu nie małą sprawiło przykrość, bo trudno było na razie, tuż przed samym odpłynięciem, wystarać się nowego trębacza, zwłaszcza że w całej mojej kompanii nie miałem ani jednego żołnierza z jakimtakim zmysłem muzykalnym.

Wtem nagle stanął przedemną Henri z jakimś ośmnasto czy dziewietnastoletnim smukłym i pięknym młodzieńcem, i przedstawiając mi go jako swojego siostrzeńca, prosił usilnie abym go przyjął za trębacza w mojej kompanii.

Młody ochotnik był wprawdzie nieco za szczupły i za delikatny, lecz zresztą bardzo przystojny, zgrabny i zwinny chłopak, z wiele obiecującą twarzą i figlarnemi, połyskującemi oczyma. Aby mi dać zaraz dowód swego uzdolnienia do opróżnionej posady, przyniosł z sobą trąbę, i zagrał tak pięknie i dźwięcznie, że aż serce radowało się, słuchając.

Takiego ochotnika niepodobna było odepchnąć. Przychodził bo jak z nieba zesłany. Nie zważając też bynajmniej na jego wątłą budowę ciała, zaciągnąłem go z największą gotowością do mojej kompanii.

W kilka dni nosił już młody trębacz mundur Zuawa. A miał niesłychane szczęście do wszystkich. Swoim towarzyszom przygrywał tak pięknie na trąbie, że wszystkich do najżywszej pobudzał wesołości; a spiewał przytem, spiewał, daj go katu! ja sam co bardzo mało cenię muzykę, przysłuchywałem mu się po całych godzinach z prawdziwą rozkoszą. W całej kompanii nie nazywano go od pierwszych dni inaczej jak „Skowronek“. I zasługiwał też nasz Antoś słusznie na ten przydomek. Cały dzień śmiał się, przygrywał, spiewał, żartował, słowem weselił się ciągle — jakby w rzeczy jakie ptaszę napowietrzne.

Z swoim wujem Janem Henri żył w najserdeczniejszej przyjaźni i poufałości, a dzięki wesołemu humorowi młodego trzpiota otrząsł się sam Henri po części z swojej dawniejszej melancholii.

Odtąd też nie myślał już wcale o ożenieniu się, przynajmniej nie wspomniał o tem przed nikim po raz drugi. Wieczorem przed

odpłynięciem, spotkałem go na przechadzce wraz z młodym trębaczem.

Nie mogłem przenieść na sobie, aby mu nie przypomnieć jego niedawnego zachcenia niedorzecznego.

Odpowiedział mi na to z uśmiechem:

— „Nie myślę już o tem, kapitanie. Moja narzeczona odjechała napowrót do Francyi. Potrzeba sobie jeszcze przed ożenieniem wywalczyć w Rosyi szlify kapitana.“

— „Co? on się chciał żenić!“ — zawołał na to figlarnie młody trębacz. — „Szczęście, kapitanie, żeś mu zabronił podobnej niedorzeczności. Nam Zuawom nie potrzeba kobiet; o! zagrałbym im pięknego marsza na pożegnanie, gdyby się pokazały między nami.“

Nie potrzebuję opisywać, z jaką radością wsiedliśmy nazajutrz na pokład okrętu. Niestety połowa z tych, którzy wówczas z grzmiącemi okrzykami: *Vive l'empereur! vive la France!* wskakiwali na łodzie, leży dziś w grobie, daleko od ziemi rodzinnej.

Pierwsze chwile naszego pobytu w Oryencie znudziły nas nad wszelkie wypowiedzenie. Mogliśmy bo taksamo stać obozem na pierwszej lepszej płaszczyznie algierskiej jak nad tem przeklętem jeziorem Dewno obok Warny.

Rosyan nie widzieliśmy nigdzie na oczy, lubo tak gorąco pragnęliśmy się z nimi potykać jaknajprędzej. Tymczasem febry, gorączka i cholera wgnieździły się w nasze szeregi, i nader liczne zmiatały ofiary. Niejeden z walecznych cieszył się już w duchu przyszłą sławą wojenną, a musiał umierać nędznie na tapczanie szpitalnym.

Nasi dwaj ochotnicy umieli sobie w każdym razie tak dobrze zaradzić, że nigdy nie musieli rozłączać się od siebie, i zawsze w obozie pod jednym sypiali namiotem. Młody trębacz nie stracił ducha wśród powszechnego niezadowolenia żołnierzy, owszem ile mógł zażegnywał swojemi spiewkami i przygrywkami zły humor niecierpliwych towarzyszów.

Strawiwszy nieczynnie całe lato w Turcyi, mieliśmy nareście zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi. Sprzykrzyło się już marszałkowi St. Arnaud czekać dłużej, uchwalił też nagle wyprawę na półwysep tauryjski.

Bohaterski marszałek czuł już śmierć w sobie, gdy wsiadał na okręt, a przecież walczył jak lew aż do ostatniego tchnienia życia. Rankiem w dzień bitwy nad Almą przejeżdżał obok mojej kompanii. Był bardzo blady w twarzy, i widać było że cierpiał okrutne boleści, wszakże przy tem wszystkiem trzymał się prosto na koniu, oko spoglądało bystro przed siebie, a głos brzmiał jeszcze silnie acz niezbyt donośnie.

— „Jak się masz stary druhu?“ — zagadnął mię naraz jako dawnego znajomego z Algeryi. — „Jak się ma twoja kompania?“ — dodał, podając mi rękę, zimną jak lód.

— „Dzięki ci za pamięć, marszałku“ — odpowiedziałem. — „Co do mnie, mam się zawsze dobrze, a moi Znawi nabrali otuchy, widząc tuż przed sobą Moskali. Lecz za to do niedawna jeszcze kwasili się piekielnie, a rezonowali, że trudno im było pozatykać gęby.“

— „Najdalej za dwadzieścia cztery godzin spotkacie się już z Moskalami, Zuawi!“ — rzekł marszałek zwrócony do tłumu. — „Nie potrzebuję wam przypominać, jak winniście się zachować.

— „O pewnie nie, marszałku, spuść się tylko na nas, Zuawów!“ — zagrzmiał mu chórem batalion. I wśród hucznych okrzyków *Vive le maréchal St. Arnaud*, zagrał nasz Skowronek tak dźwięcznie i donośnie na swojej trąbce, że aż serce silniej zakołatało w piersiach.

Niedługo rozpoczęła się bitwa nad Almą. Pierwszyto raz spotkaliśmy się tutaj z Moskalami, a możemy sobie pochlebić, że wcale nie podrwiliśmy sprawy.

Stanowisko nasze było zrazu niekorzystne. Musieliśmy się piąć na tak stromą skałę, że nieraz potrzeba było obudwóch rąk używać do pomocy. Wszystko to jednak przebyliśmy swoim trybem zwyczajnym, wyćwiczeni wyśmienicie do podobnych przepraw w górach Atlasu.

Zanim opamiętał się nieprzyjaciel, byliśmy już na szczycie wzgórza, i uderzyliśmy z niepowstrzymanym impetem na kolumny rosyjskie.

W pierwszym początku walki, kiedy kule ze wszystkich stron zaświstały ponad głową, spostrzegłem naraz, że stojący w mojem pobliżu trębacz Skowronek okropnie pobladł, i skulił się ze strachu.

Niepohamowany gniew owładnął mię na ten widok.

— „*Sacristie!*“ — zawołałem srogim głosem. — „Ten hultaj boi się kul rosyjskich! Czemuż łotrze!“ — dodałem zgrzytając zębami — „nie zaciągnąłeś się raczej do bandy skoczków i kuglarzy na paryskich bulwarach? Pokażę ja ci hultaju! coto znaczy wstyd robić starej kompanii Znawów!“

Twarz młodego trębacza poczerwieniła jak szkarłat od wstydu.

— „Przebaczenia, kapitanie!“ — odpowiedział mi żywo. — „Nie przywykłem jeszcze do świstu kul. Ręczę ci jednak iż nie lękam się śmierci.“

Po tych słowach przyłożył spiesznie trąbę do ust, i zadął w nią tak silnie i śmiało, jakgdyby już w setnej z kolei znajdował się bitwie.

Niemniejszą też odwagę okazywał jego kuzyn i serdeczny przyjaciel, Jan Henri, na którego jak na każdego nowego żołnierza w pierwszym ogniu nader baczne miałem oko.

Poznałem teraz najlepiej jak walnego pozyskałem w nim żołnierza. Henri uderzył z impetem na nieprzyjaciela, a widziałem na własne oczy jak jednego oficera rosyjskiego przeszył na wylot bagnetem.

Uważałem jednak, iż wśród najzaciętszej walki, wśród najgęstszego ognia, Henri co chwila z dziwną troskliwością obracał się do swego kuzyna, który przez cały ciąg bitwy ani na krok nie oddalał się od jego boku.

Odnieśliśmy wreście walne zwycięstwo, jak się naprzód już można było po nas spodziewać. Rosyanie pierzchnęli w nieładzie do Sebastopola, my stanęliśmy obozem po drugiej stronie Almy.

Będąc sam świadkiem bohaterskiej waleczności Jana Henri, nie mogłem pozostawić go bez nagrody. Zaraz wieczorem po bitwie mianowałem go kapralem.

Byłto zaszczyt niemały, ile że Henri do najmłodszych liczył się żołnierzy, a waleczność w kole Zuawów nie jest wcale rzeczą niezwyczajną.

Niezmiernie też wdzięczen był mi Henri za swoje wywyższenie, i przyrzekł uroczyście pozostać na zawsze godnym moich względów.

— „Patrz, kapitanie,“ — rzekł śmiejąc się młody trębacz, gdy z ust moich dowiedział się o nowym stopniu swojego kuzyna — „Henri dobije się nakoniec szlifów oficerskich, i pojmie żonę wbrew twojemu życzeniu. Toż to wesoło zagram mu na weselu! Ty sam, kapitanie, będziesz musiał zatańczyć z nami.“

Odniosłszy zwycięztwo nad Almą, nie utorowaliśmy sobie jeszcze drogi do wnętrza Sebastopola. Nie byłoż bo to tak łatwem zadaniem, jak się nam zdawało w pierwszej chwili. Rosyanie bronili się mężnie, a granitowe mury Sebastopola nie pękały za lada wystrzałem. Niejeden też waleczny żołnierz spoczął w ziemi, nie ujrzawszy trójbarwnych sztandarów na szczytach warowni, a sama walka o Mamelon i wieżę Malakowską kosztowały nas więcej ludzi, niż dziesięć wypraw przeciw Kabylom.

Lecz cóż to wszystko znaczy, na końcu dopięliśmy swego, a nam żołnierzom nie chodzi o nic więcej.

Nudne i przykre jednak było to długie oblężenie, a mianowicie te bezustanne prace około szańców i podkopów, i gdyby nie owe częste drobne potyczki z Rosyanami, tedy bylibyśmy pewnie skwasili sobie humor na wieki.

Naszym sprzymierzeńcom Anglikom nie można było odmówić odwagi i wytrwałości, wszakże najgorzej popisywali się zawsze w podobnych walkach forpocztowych.

Najczęściej też na nich wypadali nocą Rosyanie, a pewnego razu zaskoczyli ich tak niespodziewanie na kilku naraz miejscach, iż zanim uderzono na alarm, to już kolumny rosyjskie do samego dotarły obozu.

Teraz dopiero otrzęśli się ze snu Anglicy, i pochwycili za broń jak lwy rozsrożone, wszakże mimo całej swojej bohaterskiej waleczności, nie tak łatwo byliby się oparli w dwójnasób liczniejszym siłom rosyjskim, gdyby nie spieszna pomoc naszych żołnierzy.

Osobliwie my Zuawi niepoślednią wyrządziliśmy im przysługę. Znużeni ciężką służbą we dnie, spaliśmy owej nocy jak zabici pod naszemi kocami i płaszczami, gdy wtem obudziła nas wieść o niespodziewanej potrzebie sprzymierzeńców. Nie minęło kilkanaście minut, a cały korpus stanął już zebrany i uszykowany pod bronią, i wśród grzmiącego odgłosu trąb i okrzyków *Vive l'empereur* spieszył co tchu w pomoc uciśnionym Anglikom.

Mój młody trębacz był jeden z pierwszych w szeregach kompanii, a dął w swoją trąbę jak szalony. Sypiał on zwyczajnie ubrany w swoim namiocie, to też na pierwszy ruch w obozie mógł prędzej od innych otrząść się ze snu i uderzyć w trąbę na alarm.

— „Walnie, mój bracie“ — zawołałem mu zdaleka — „byleś tylko trąbił na wygraną!“

— „O, zwyciężyć musimy, kapitanie!“ — odpowiedział mi wesoło. — „Przekonasz się także, że przywykłem już do świstu kul, i nie potrzebuję uchylać głowy jak w bitwie nad Almą.“

Nie było czasu do dłuższej rozmowy. Pospieszyliśmy naprzód co sił stało, a niebawem okazało się przed nami pole walki.

(D. n.)

Przysłowia Wacława Potockiego.

Wszystkie narody średniowieczne kochały się niezmiernie w przysłowiach i przypowieściach. Każdy z stanów i zawodów ówczesnych miał swoje własne. Były osobne przysłowia prawnicze, wojskowe, kupieckie, myśliwskie i t. p. Nieraz cała umiejętność pewnego kunsztu albo rzemiosła zawierała się w szeregu krótkich prawideł przypowieściowych. Próbką takiej nauki zachowały się do dziśdnia przysłowia gospodarskie, rolnicze. O ile zatrudnienia sielskie ulegają mniejszym odmianom i wierniej staroświeckich trzymać się mogą torów, o tyle i te reguły gospodarskie dłuższą dla nich zachowały powagę. Z tej samej przyczyny trwali dawni Polacy o wiele dłużej w zamiłowaniu wszelkich w ogólności przysłowiów niż inne ludy. Jak wszędzie w średnich wiekach, tak i w Polsce ówczesnej rozrosła się nadzwyczajnie szeroko literatura przysłowiowa. Ileż najrozmaitszych zabytków tego rodzaju, klasycznych i nowoczesnych, obcych i polskich, znajduje się np. w kronice Kadłubkowej! Poźniej żywszy ruch umysłów i kunsztów zatarł gdzieindziej pamięć dawnych przysłowiów, uczynił je mniej stosownemi, zwrócił uwagę ku innym sposobom wyrażania się myśli. U nas większa jednostajność życia, zatrudnień domowych i publicznych, wykształcenia umysłowego, pozwoliła bardzo długo zachować się wszystkim dawnym zwyczajom, a z temi utrzymały się także przysłowia. Do bardzo poźnych czasów były one ulubioną okrasą mowy i pisma. Zbierano je wielokrotnie, ogłaszano razporaz drukiem, odświeżano w pamięci. Oprócz dawnych powszechnie znanych tworzył nadto każdeu pisarz celniejszy, zwłaszcza w drugiej połowie wieku XVII, swoje własne sentencye przysłowiowe, niekiedy bardzo szczęśliwe. Nabyto w tej mierze zadziwiającej z czasem zręczności. Uderza ona osobliwie w pismach Wacława Potockiego, autora *Wojny chocimskiej*, *Argenidy*, *Poczta herbu* i t. d., traktując często wcale obce przedmioty, umie on za pomocą zwrotów przypowieściowych nadać im w wysokim stopniu wyraz, i krój rodzimy. Dla miłośników literatury przysłowiowej ciekawą będzie z tego względu próbka podobnych *kwiatów umysłu*, uzbieranych przypadkowo z kilku dzieł naszego poety podkarpackiego. Znajdą się pomiędzy niemi i takie, które poniekąd przypominają się z innych zbiorów; w największej jednakże liczbie są one oryginalnym płodem Wacława, i zasługują przeto na uwzględnienie.

Nie bierz siostry po siostrze, nie bierz żony bratniej.

Inszy chart porwie kota, nie ten co dogoni, Dosyć nań że dał obrot, inszy zgryzie skoki, I trąbę przy herapie obliże z posoki.

Lisa tam zażyć trzeba, gdzie kto lwem nie zdole.

Z czasem zysk z czasem chodzi między ludźmi strata.

Co zając trzydziestym, to ryś trzecim skokiem.

Nie boi się nikogo, ma rogi do zwady Z każdym nieprzyjacielem: ma brodę do rady.

Chociaż każda żona koroną mężową, Lecz rzadko, która złotą, więcej ich cierniową.

Kto sam sypia w popiele miasto materaca, Ten drugiego ożogiem zaraz w piecu maca.

Im się cieżej cierpi, tem wspomnieć słodziej.

Rzadko się zła wieść mieni.

W sitowiu sęku szuka, kto na rokosz woła.

Pierwszy a ostatni raz najbardziej boli.

Gdy nie masz fantazyi, o dobrą myśl trudno, Zwłaszcza widząc że ze mną idzie kto obłudno.

Dobrego czas poprawi, złego jako żywo, I co ma być osęka zaraz rośnie krzywo.

Każdy chłopskiego rodu człek, który jest sługą, Jak dał wolność za kopę, da cnotę za drugą.

Sama melankolija gotową chorobą, Kto się z ludźmi nauczy, nie może żyć z sobą.

Nie wadzą pszczołom osy, byle w swojej bani.

I rzecz to doświadczona, że człowiek człowieka Bardziej lubi nie widząc, i kocha z daleka, Obecność zaś nasyca, dzień trzeci i goście I ryby zbrzydzi, przypowieść stara, choć w poście.

Papier pole, pióro kord, kto niem dobrze bije, Bardzo boli, co gorsza rana nie zażyje.

Stroni od domatora sława i od tchorza, Chłopa dobrego pełno od morza do morza.

Nie ma język kości, gęba pana.

Mars też zawsze z Wenerą w lidze dożywotnej, Rzadko się rodzi mężny, kto nie jest zalotny.

Nie chcącym dobrze czynić za tyraństwo stoi.

Piękna róża ale tarń, słodki miód lecz w pszczole żądło; chceszli lub woniać? lubo jeść, zakole.

Kto czas ma a czeka, temu czas ucieeze.

Sięgnąć trzeba do dziury, kto chce łowić raki, Kto gorąco kąpany, prędko spłoszy ptaki. Trzeba wprzódy zgryźć orzech, kto chce zażyć jądra, Dobra odwaga ale żeby była mądra.

Łacniej sto zegarków niż dziesięć bab zgodzić.

Wczas według przypowieści, łyżka po obiedzie, Posiłek po potrzebie.

Dzisiaj woda ma ponik jutro struszkiem spada, Pojutrze tamy łomie, i groble rozbada.

Kto sumienia uchyli na jeden grzech mały, I wielkie się tą dziurą będą napierały.

Łacno otworzyć ale wielkiej trzeba siły, zamykając.

Umrzeć woli cnotliwy niż puścić zawiasy, Śmiertelnych piersi, chodząc z grzechami w zapasy.

Zawsze ma przód tłusty przed chudym, Ten zdechnie, nim ów zchudnie.

Kto się Boga boi, Temu nic po zawarciu, po wojsku, po zbroi. Będzie spiewał, przechodząc okropne kaukazy, Pójdzie krom wszelkiej trwogi przez śliskie obłazy.

Nie zlęknie się rusznicy i gołego miecza, Kogo Bóg strzeże, kogo cnota ubezpiecza.

Zdrajcę ptacy rozniosą i robak zepsuje.

Nigdy zgoła ręki mieć nie trzeba próżnej, Tak w domu jako w drodze, kto chce być ostrożny.

Inszy szwiec, inszy kuśnierz, choć obadwa z skóry, Tamten rzemieniem a ten futrem łata dziury.

Każdemu towaru co do nas przychodzi, Jako prawdzie daleka droga wielce szkodzi.

Szukającemu tysiąc dróg, jedna tylko uciekającemu.

Komu miłość praży na podołku jagłę, trudno mu zwłokę cierpieć.

Nie zawsze met chodzi przy szachu.

Chrczą ludzie choć się jeszcze dobrze nie urodzi.

Nie chowaj sługi, Greka, cygana, Węgrzyna.

Co rzadkie, to i drogie, jeśli wierzyć chcecie, Drogi sługa, bo rzadko jest dobry na świecie.

Nie pewne nabycie: co na cle przyszło, żeby nie poszło na mycie.

Cudze proso oganiał, jego zjadły wróble.

Bardziej szkodzi niż zgoi, kto w skok ranę leczy.

Inszy impet do góry, inszy bywa z góry.

Wszystko jak wianki wił, gdzie miłość prawdziwa Męża z żoną jako dwie sparzyła ogniwa.

Nie częste widanie gotowe nieznanie.

Droższe skarby posiędzie od pereł od złota, Jeżeli z nim ubogi je chleb i sierota.

Jedno dziesięć poetów, a drugie malarzów, Trzecie myśliwców, mówią że półkopy łgarzów.

Dobry przysmak apetyt; napiwszy się wódki Daj zrazową pieczenią, weźm sobie jagódki.

Dwutysięczno-letnia cebulka kwiatu. Donoszono już niejednokrotnie, i przekonano się nową zeszłego roku próbą, iż ziarnka pszenicy, znalezione w środku piramid, i dzisiaj mogą jeszcze przyjąć się w ziemi, i wydają plon niezmiernie obfity. Jestto zapewne tensam gatunek zboża, którym Józef podczas siedmiu lat urodzaju napełnił spichrze w zapas na siedm następnych lat głodu. Podobnie pomyślny skutek jak z tą pszenicą odwieczną otrzymano świeżo z pewną dwutysięczno-letnią cebulką kwiatu. Wyjęto ten korzonek rośliny z ręki jednej mumii, nad której trumną umieszczony jest napis hieroglificzny, świadczący najmniej o dwudziestu stóleciach odpoczynku pod ziemią. Zakopano cebulkę tę w miejscu położonem ku słońcu, a w krótkim czasie wystrzeliła z niej roślina, która wybujawszy do należytej wysokości, jaknajcudniejszym uwieńczyła się kwiatem. Rozmnożony z czasem, będzie kwiat ten prawdopodobnie jedną z najpiękniejszych ozdób ogrodów i cieplarń botanicznych.

Sztuczne zamrażanie. Sławny chirurg francuzki Nélaton próbował przy kilku bolesnych operacyach zamrozić sztucznie chorą część ciała, i pozbawić ją przezto wszelkiej czułości nerwów. Sposób ten ma być z wielu względów nierównie lepszym niż dotychczasowe usypianie za pomocą eteru i chloroformu. Jeśli np. potrzeba wyrwać wrosły w ciało paznokieć, tedy kładzie się na palec pacyenta mały woreczek z podwójnej gazy, napełniony mieszaniną z dwóch części tłuczonego lodu a jednej części soli kuchennej. W dwóch lub trzech minutach zblednie i otrętwieje palec do tego stopnia, że straszna napozor operacya może odbyć się bez najmniejszego bolu, przy zupełnej przytomności pacyenta.

Pewien biedak, mający wiele dzieci a mało dochodów, wynalazł oszczędny sposób opędzania wydatków domowych. W czasie wieczerzy przywołuje wszystkie dzieci i robi im następującą propozycyę: „Kto się obejdzie bez wieczerzy dostanie dwa grosze.“ Dzieci chętnie na to przystają. Nazajutrz rano następuje inny układ. Kto chce mleka na śniadanie, musi dać dwa grosze.

Myśli. Nakształt sztucznych zwalisk w angielskich ogrodach, niektórzy zbyt cnotliwi ludzie na tym padole, wydają się sztucznemi ruinami z lepszego świata.

W ludziach żywych i ognistą fantazyą obdarzonych, jak w krajach gorących, lub na wysokich górach wszystkie ostateczności stykają się z sobą.

Przypowieść. — Miejskiej przyjaźni, wiernej miłości, przewozu we krę, musi każdy przypłacić.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.